

A photograph of a person standing in a snowy forest. The person is small and dark, standing on a path covered in snow. The trees are tall and thin, with snow on their branches. The sky is bright and overcast.

NOWA
POWIEŚĆ
AUTORA
„KLUCZA
DO
PÓŁNOCY”

DEAN

KOONTZ

NIEWINNOŚĆ

1

Po ucieczce od jednego ognia spodziewałem się kolejnego. Zbliżającym się płomieniom przyglądałem się bez lęku. Ogień był jedynie światłem i ciepłem. Każdy z nas potrzebuje w życiu ciepła i szuka światła. Nie mogłem więc bać się tego, czego potrzebowałem i czego szukałem. Dla mnie kontakt z ogniem stwarzał jedynie nadzieję na nieuchronny koniec. Ten piękny świat, złożony z mnóstwa pięknych, powabnych i wdzięcznych istot, budził we mnie tylko jeden stały lęk – że mogę na nim żyć zbyt długo.

2

Byłem zdolny do miłości, ale po śmierci Ojca żyłem samotnie. I dlatego kochałem jedynie drogich zmarłych, książki oraz chwile wspaniałego piękna, którym od czasu do czasu zaskakiwało mnie to miasto, gdy przemierzałem je w całkowitej tajemnicy.

Zdarzało się na przykład, że w bezchmurne noce, w

tej szczególnej chwili, gdy większość mieszkańców śpi, gdy ekipy sprzątające kończą pracę, a wieżowce aż do świtu pozostają w ukryciu, nad głową ukazują się gwiazdy. Zapewne nie świecą nad tą metropolią równie jasno jak nad jakąś równiną w Kansas lub nad górą w Kolorado, ale i tak jaśniejają niczym miasto na niebie, czarujące miejsce, w którym mógłbym chodzić po ulicach bez strachu przed ogniem, gdzie mógłbym znaleźć kogoś, kogo bym miłował i kto miłowałby mnie.

Tutaj, gdy mnie widziano, swoją zdolnością do kochania nie budziłem w nikim litości. Wręcz przeciwnie. Na mój widok zarówno kobiety, jak i mężczyźni, wzdragali się, lecz ich strach szybko ustępował miejsca furii. Nie skrzywdziłbym ich w obronie własnej i dlatego pozostałem bezbronny.

3

W niektóre noce do mojego lokum, które nie miało nawet okien, docierała piękna, lecz smutna muzyka. Nie wiedziałem, skąd dochodzi, nie potrafiłem też rozpoznać melodii. Nie towarzyszyły jej słowa, ale byłem przekonany, że kiedyś słyszałem wyśpiewujący tę piosenkę, niski i chrapliwy kobiecy głos. I za każdym razem poruszałem ustami, chcąc odtworzyć treść, ale ona wciąż umykała.

Ten kawałek nie był bluesowy, a mimo to ciążył na sercu niczym blues. Mógłbym go nazwać nokturnem, choć, jak sądzę, nokturn zawsze jest utworem instrumentalnym. Do tej melodii istniały zaś słowa, byłem tego pewien.

Powinienem dojść w ślad za tymi melodyjnymi dźwiękami do jakiegoś szybu wentylacyjnego lub kanału, ale wszystkie próby znalezienia ich źródła kończyły się niepowodzeniem. Wydawało się, że ta muzyka wydobywa się z powietrza, jakby przedostawała się przez membranę z innego niewidzialnego, równoległego świata.

Być może ci, którzy nie żyli w ukryciu, uznaliby myśl o niewidzialnym świecie za zbyt dziwaczną i odsunęli ją od siebie.

Jednak ci z nas, którzy pozostają w ukryciu przed całą resztą ludzi, wiedzą, że ten świat jest niezwykle i pełen tajemnic. Nie mamy zdolności magicznego postrzegania ani nadprzyrodzonego wglądu w rzeczywistość. Sądzę, że to, iż rozpoznajemy jej złożony wymiar, wynika z naszej samotności.

Życie w mieście tłumów, ulicznego ruchu i bezustannego hałasu, w wiecznym dążeniu do czegoś, w ciągłej rywalizacji o pieniądze, pozycję i władzę rozpraszało chyba ludzi, aż w końcu przestali dostrzegać cokolwiek innego – zapominali, że coś poza tym istnieje. A może, z powodu tempa i stresu związanego z tym życiem, zdrowie psychiczne zależało od niedostrzegania różnych cudów, rzeczy zadziwiających i zagadkowych, które składały się na prawdziwy świat.

Kiedy napisałem: „ci z nas, którzy pozostają w ukryciu”, powinienem był ująć to inaczej: „ja, który nadal się ukrywam”. O ile dobrze wiedziałem, w tej metropolii nie było drugiego takiego jak ja. Już od dawna żyję sam.

Przez dwanaście lat dzieliłem ten głęboki szaniec z Ojcem. Zmarł sześć lat temu. Kochałem go i codziennie za nim tęskniłem. Teraz miałem dwadzieścia sześć lat i

przed sobą, być może, długie, samotne życie.

Zanim tutaj przybyłem, Ojciec mieszkał ze swoim ojcem, którego niestety nie poznałem. Od nich dostałem większość mebli i książek.

Być może pewnego dnia przekażę swój dobytek komuś, kto mnie mógłby nazywać Ojcem. Stanowiliśmy nieprzemijający ród wydziedziczonych, żyjący w tajemnym mieście, którego ludzie nigdy nie widzieli.

Mam na imię Addison, lecz wtedy imiona nie były nam potrzebne, ponieważ rozmawialiśmy tylko ze sobą.

Czasami, z uśmiechem na ustach, Ojciec mówił o sobie Ten. Nie było to jednak prawdziwe imię. Mnie nazywał Tym Tego lub Synem Tego – tak sobie żartowaliśmy.

Według norm innych ludzi byliśmy nadzwyczaj brzydcy. Tak bardzo, że nasza brzydota wzbudzała w nich wstręt i strasliwą wściekłość. Chociaż byliśmy ludźmi w takim samym stopniu jak ci, którzy żyli jawnie, nie chcieliśmy razić ich oczu, więc się ukrywaliśmy.

Ojciec tłumaczył mi, że nie wolno nam gniewać się na innych, mężczyzn i kobiety, za to tylko, jak nas traktują. Żywili lęki, których nie byliśmy w stanie pojąć. Powiedział, że my, ukryci, mamy swoje brzemię, lecz tamci dźwigają znacznie cięższe brzemię od naszego – co było prawdą.

Pozostawaliśmy w ukryciu, żeby uniknąć czegoś gorszego niż prześladowanie. Pewnej nocy Ojciec został schwytany na powierzchni. Dwaj przerażeni, rozjuszeni mężczyźni postrzelili go i zatłukli na śmierć.

Nie żywiłem do nich urazy. Było mi ich żal, ale kochałem tych oprawców, jak tylko mogłem. Wszyscy zostaliśmy sprowadzeni na świat z jakiegoś powodu i musimy zadać sobie pytanie, dlaczego tak się stało. I mieć

nadzieję, że poznamy odpowiedź.

Małe, pozbawione okien lokum było również moją szkołą; starałem się tu uczyć, a w najważniejszym z trzech pomieszczeń ściany zabudowane zostały przez ojca mojego Ojca mahoniowymi regałami. Półki były wypełnione książkami niechcianymi przez tych, którzy żyli na świecie powyżej.

Każdy z głębokich wygodnych foteli miał wyściełany podnózek. Obok nich stały proste drewniane sześciany, na których można było postawić coś do picia, oraz lampy z brązu, obleczone plisowanymi szantungowymi abażurami w kolorze brzoskwini.

Mały stół i dwa krzesła z prostymi oparciami zapewniały miejsce na posiłki. W czasach, gdy było nas dwóch, graliśmy przy tym stole w karty i szachy.

Wtedy od czasu do czasu stawiałem pasjansa. Nie przepadałem za tym, ale niekiedy, tasując karty, zamiast swoich widziałem ręce Ojca. Jego palce były zdeformowane, ponieważ w dzieciństwie, po tym, jak pewien pastor połamał mu je w niedzielny wieczór, zrosły się krzywo w łubkach, jakie sam sobie założył..

Kochałem te ręce, które nigdy nie skrzywdziły żywego stworzenia. Blade blizny i zdeformowane przez artretyzm kłykiec były piękne, ponieważ świadczyły o jego odwadze i przypominały mi, że nie mogę czuć rozgoryczenia z powodu popełnianych na nas okrucieństw. On cierpiał bardziej niż ja, a mimo to kochał życie i świat.

Stolik i większość pozostałych mebli zostały tutaj z trudem sprowadzone lub zrobione na miejscu przez moich poprzedników.

Przez sześć lat dwa fotele nie były mi potrzebne.

Podczas lektury siedziałem przeważnie w fotelu, który był mój, odkąd tutaj przybyłem. Jednak od czasu do czasu sadowiłem się w fotelu Ojca, żeby go lepiej pamiętać i poczuć się mniej samotnie.

Drugie pomieszczenie, podobnie jak pozostałe, miało prawie dwa i pół metra wysokości. Grube ściany, podłogę i strop wykonano z betonu zbrojonego, przez który niekiedy przenikały jakieś drgania. Nigdy jednak nie przedostawały się żadne rozpoznawalne dźwięki oprócz wspomnianej muzyki.

Z obu stron pozbawionego drzwi otworu drzwiowego zawieszono hamaki rozciągnięte na całą długość pokoju. Grube płótno łatwo było wytrzeć do czysta gąbką, a mój koc stanowił jedyną wymagającą prania pościel.

Kiedy żył Ojciec, w bezsenne noce leżeliśmy w ciemności bądź przy świetle świecy i godzinami rozmawialiśmy. O tym, jak niewiele światła widzieliśmy na własne oczy, o cudach natury, które oglądaliśmy w książkach z kolorowymi zdjęciami, oraz o tym, co to wszystko może znaczyć.

I chyba to były najszcześniejsze chwile, jakie wspominam. Choć tych radosnych nie brakowało, z trudem przychodzi mi wskazanie najlepszych.

Przy tylnej ścianie, między hamakami, stała lodówka. Ojciec Ojca radził sobie kiedyś bez takiego sprzętu. Mój Ojciec – samouk jak ja – zgłębił tajniki elektryki i mechaniki tego urządzenia. Zdemonstrował lodówkę, przyniósł ją z nadziemnego świata i z powrotem złożył.

Na lewo od lodówki stał stół mieszczący toster, płytkę do podgrzewania potraw oraz prociż. Na prawo znajdowały się półki, które służyły mi za spiżarkę i do

układania zastawy stołowej.

Jadłem dobrze i byłem wdzięczny, że w mieście jedzenia jest w bród.

Gdy ojciec Ojca odkrył ten głęboki szaniec, były już tam elektryczność i podstawowe elementy instalacji wodno-kanalizacyjnej. W pokojach nie było jednak mebli. Nic nie świadczyło o tym, by wcześniej ktoś tu mieszkał.

Zanim Ojciec znalazł mnie – czekającego na niechybną śmierć – istnienie tych komór wyjaśniali sobie z jego ojcem na wiele sposobów.

Można by pomyśleć, że to miejsce było schronem przeciwbombowym, umieszczonym tak głęboko pod powierzchnią ulicy, pod tyłoma grubymi warstwami betonu, że nawet wielokrotne wybuchy bomb atomowych nie zdołałyby go skruszyć. Docierało się do niego drogą tak okrężną, że zabójcze promieniowanie, przenoszone po liniach prostych, nie mogłoby tutaj trafić.

Jednak po zdjęciu gniazdek z dowolnego miejsca na ścianie, nazwa wytwórcy wytłoczona w metalowej puszcze wskazywała na firmę, która, jak dowiodły zebrane informacje, zwinęła interes w 1933 roku, na długo przed pojawieniem się zagrożenia atomowego.

Poza tym budowa schronu przeciwbombowego dla zaledwie dwóch osób w wielkim, wielomilionowym mieście nie miała sensu.

Trzeciego pomieszczenia, łazienki, także całej z betonu, nie zaprojektowano w oczekiwaniu, że miasto i jego wodociągi zostaną zniszczone bronią atomową. Umywalka na postumencie i wanna na nóżkach miały po dwa krany, chociaż woda była co najwyżej przyjemnie ciepła, a więc ogrzewający ją bojler musiał znajdować się daleko. Stara

ubikacja była wyposażona w górnośluk, z którego po pociągnięciu za łańcuch spływała do muszli woda.

Być może podczas budowy jakiś urzędnik, który był seksualnym drapieżnikiem o zbrodniczych skłonnościach, zaplanował pod jakimś pozorem budowę tego azylu, zamierzając usunąć potem ze wszystkich rejestrów publicznych informacje o jego istnieniu, żeby móc sprowadzać kobiety do prywatnego lochu i torturować je tam oraz mordować bez obawy, że ktokolwiek w rojnym mieście u góry usłyszy ich wrzaski.

Wyglądało jednak na to, że ani miejski architekt, ani inżynier, który zaprojektował doprowadzenie mediów do tego obiektu, nie byli nienasyconymi seryjnymi zabójcami. I gdy ojciec Ojca odkrył kiedyś tę przytulną kwaterę, gładkich betonowych ścian nie szpeciły makabryczne plamy ani żadne inne dowody popełnionych tam morderstw.

W każdym razie te pomieszczenia nie miały w sobie niczego złowieszczego.

Tym, którzy nie żyli w ukryciu, brak okien i nagi beton mogły przywodzić na myśl loch. Ale taka konstatacja opiera się na założeniu, że ich sposób życia jest nie tylko lepszy od naszego, ale również nie ma dla niego realnej alternatywy.

Opuszczałem to schronienie z wielu powodów, tylekroć, ile razy moje życie było w niebezpieczeństwie. I dlatego wykształciłem w sobie wyostrzony zmysł zbliżającego się zagrożenia. Tutaj nic mi nie groziło. To był mój dom.

Byłem zwolennikiem teorii świata równoległego, o której wcześniej wspomniałem. Jeśli istniało miejsce, oddzielone od świata membraną, której obecności nie

możliśmy wykryć naszymi pięcioma zmysłami, to w pewnym punkcie kontinuum trwania czasoprzestrzennego wyrzuciła się ona wokół niewielkiej części tej drugiej rzeczywistości i dodała ją do otaczających nas rzeczy. I jeśli oba te światy u swego zarania powstały z tego samego, pełnego miłości źródła, chciałem wierzyć, że takie sekretne schronienia jak to zapewniono zwłaszcza tym, którzy, podobnie jak ja, byli wyrzutkami nie z własnej winy, napiętnowanymi, ściganymi i rozpaczliwie potrzebującymi kryjówek.

Była to jedyna teoria, jaką pragnąłem wyznawać. Nie mogłem stać się kimś innym, kimś bardziej pociągającym dla tych, którzy cofali się przede mną odruchowo, nie mogłem wieść życia innego niż to, na które byłem z natury skazany. Moja teoria dawała mi komfort. Gdyby pojawiła się jakaś mniej krzepiąca, nie chciałbym jej brać pod uwagę. W moim życiu było tyle piękna, że nie zaryzykowałbym rozważania jakiegokolwiek zaciemniającej obraz myśli, która mogłaby zatruć mój umysł i pozbawić mnie niezachwianej radości.

Nigdy nie wychodziłem z ukrycia za dnia, nie czyniłem tego nawet o zmierzchu. Z wyjątkiem nielicznych sytuacji pojawiałem się na górze tylko po północy, gdy większość ludzi spała, a pozostali oddawali się marzeniom.

Kamuflaż zapewniały mi czarne buty trekkingowe, ciemne dżinsy oraz czarna bądź granatowa bluza z kapturem. Pod kurtką nosiłem szalik, założony tak, że gdybym musiał przejść jakąś ścieżką czy ewentualnie ulicą i narazić kogoś na swój widok, mogłem go podciągnąć pod oczy. Swoje rzeczy zdobywałem w sklepach z artykułami używanymi; wchodziłem do nich

po godzinach drogą, z której mogłyby skorzystać szczury, gdyby nadawały się do skrytych działań równie dobrze jak ja.

Miałem taki strój na sobie pewnej grudniowej nocy, gdy moje życie zmieniło się na zawsze. Gdybyście byli taką istotą jak ja, sądzilibyście, że żadna duża zmiana nie może być pozytywna na dłuższą metę. Gdybym jednak otrzymał szansę cofnięcia czasu i postąpienia w inny sposób, znowu zrobiłbym to, co wtedy zrobiłem, bez względu na konsekwencje.

4

Nazywałem go Ojcem, ponieważ był najbliższą tego miana osobą, jaką znałem. Moim prawdziwym ojcem był ktoś inny.

Według mojej matki mój rodzony ojciec kochał bardziej wolność niż ją. Dwa tygodnie przed moimi narodzinami ten niespokojny duch, który podróżował, żeby odnaleźć siebie, a zamiast tego się zagubił, wyszedł z domu i nigdy nie wrócił, wypłynął na morze lub wyjechał gdzieś daleko do dżungli.

W noc moich narodzin gwałtowny wiatr wstrząsnął małym domem, lasem, a nawet, jak opowiadała, górą, którą ów las porastał. Wichura awanturowała się na dachu, dobijała się do okien, szarpała za drzwi, jakby była zdecydowana wtargnąć do domu, w którym przyszedłem na świat.

Zaraz po moich narodzinach dwudziestoletnia córka akuszerki przerażona uciekła z sypialni. Szlochając,

schroniła się w kuchni.

Kiedy akuszerka próbowała mnie udusić w kocyku dla noworodka, moja matka, mimo osłabienia ciężkim porodem, wyjęła broń palną z szuflady stolika nocnego i grożąc jej użyciem, uratowała mnie od śmierci.

Później, w spokoju poranka, odleciały wszystkie ptaki, jakby zmiotło je z drzew na skraj kontynentu. Wróciły dopiero czwartego dnia – najpierw wróble i jerzyki, potem kruki i jastrzębie, a na samym końcu sowy.

Akuszerka i jej córka zachowały moje istnienie w tajemnicy albo dlatego, że bały się oskarżenia o usiłowanie zabójstwa, albo dlatego, że zapomnienie o mnie było warunkiem ich spokojnego snu. Twierdziły, że urodziłem się martwy, a moja matka potwierdziła ich wersję.

Przeżyłem na tej górze osiem lat, śpiając najczęściej w tym przytulnym domku stojącym na końcu wąskiej drogi gruntowej. Przez cały ten czas, aż do dnia mojego wyjazdu, nie widywałem żadnych innych istot ludzkich poza moją błogosławioną matką.

W końcu, będąc w wieku, w którym większości dzieci nie pozwala się oddalać w ustronne miejsca, ja mogłem włóczyć się po odizolowanych od świata zakątkach lasu. Byłem jednak bardzo silny i miałem niesamowitą intuicję oraz pewien rodzaj więzi z Naturą, jakby moje DNA zawierało soki drzew i krew zwierząt. Natomiast matka czuła się spokojniejsza, gdy przebywałem poza domem. Las, cienisty za dnia i oświetlony blaskiem księżyca nocą, był mi równie dobrze znajomy jak własna twarz w lustrze.

Znałem jelenie, wiewiórki, rozmaite ptaki, wilki, które wyłaniały się z wyginających się z gracją w łuk paproci i znikwały pod nimi. Moje środowisko było zamieszkane

przez pierzaste i futerkowe stworzenia, przemieszczające się na skrzydłach lub czterech chyżych łapach.

W gęstych lasach i na okolonych nimi łąkach, a od czasu do czasu także na naszym podwórzu widywałem Przejrzystych i Mglistych, bo tak w końcu ich nazwałem. Nie wiedziałem, kim mogą być, ale intuicja podpowiadała mi, że matka nigdy ich nie widziała, ponieważ o nich nie mówiła. Ja zaś nigdy o nich nie wspominałem, ponieważ wiedziałem, że wzięłaby to sobie do serca i martwiła się o mnie jeszcze bardziej niż dotychczas.

Później widywałem Przejrzystych i Mglistych także w mieście. I, jak później wyjaśnię, stopniowo pojąłem ich naturę.

W każdym razie czułem się w tamtych latach szczęśliwy, ponieważ zawsze do pewnego stopnia tak się czułem. Las nie stanowił dla mnie dzikiego obszaru, lecz był mi jak własny ogród, kojący mimo swej rozległości i nieskończenie tajemniczy.

Im bardziej znajome staje się jakieś miejsce, tym większej nabiera też tajemniczości, jeśli uświadamiamy sobie istotę rzeczy. Całe życie przekonywałem się, że tak właśnie jest.

Niedługo po moich ósmych urodzinach matka przestała tolerować moją obecność w domu. Nie mogła przy mnie spać. Straciła apetyt, przez co bardzo schudła. Nie chciała również, bym mieszkał w pobliskim lesie. Po części dlatego, że myśl o tym, jak swobodnie się tam czuję, przypominała jej, że nie jest tam równie mile widziana jak ja, a także z powodu tego myśliwego. Musiałem więc odejść.

Nie mogłem jej winić. Kochałem ją.

Ona próbowała mnie kochać i do pewnego stopnia obdarzała mnie uczuciem. Byłem jednak wyjątkowym ciężarem. Chociaż jestem zawsze szczęśliwy – lub przynajmniej nie jestem nieszczęśliwy – napawałem ją straszliwym smutkiem. I ten smutek powoli ją zabijał.

5

Ponad osiemnaście lat później, w tym znanym mi, a mimo to tajemniczym mieście, nastał grudzień, który zmienił moje życie.

Kiedy wychodziłem tamtej nocy z plecakiem przewieszonym przez ramię – zamierzałem bowiem częściowo uzupełnić zapasy w spiżarce – wziąłem ze sobą dwie ledowe latarki, jedną do ręki, a drugą przypiętą do pasa, na wypadek gdyby ta pierwsza się zepsuła. Droga z mojego lokum do metropolii na powierzchni ziemi była spowita w niemal całkowitych ciemnościach, podobnie jak wiele przejść na tym świecie – ukrytym i naziemnym, betonowym i otwartym.

Szeroki na półtora metra i długi na trzy korytarz prowadził z pomieszczenia z hamakami i wydawał się kończyć pustą ścianą. Sięgnąłem wysoko do prawego rogu, wsadziłem palec wskazujący do otworu, który był jedynym charakterystycznym elementem na tej gładkiej powierzchni, i przycisnąłem znajdujący się tam guzik zwalniający zasuwę. Płyta trzydziestocentymetrowej grubości obróciła się bezszelestnie na ukrytych zawiasach z łożyskiem kulkowym, osadzonych trzydzieści centymetrów od jej lewej krawędzi.

Powstały w ten sposób otwór miał szerokość stu dwudziestu centymetrów. Gdy przestąpiłem próg, masywne drzwi zamknęły się za mną.

Nawet bez światła potrafiłem odnaleźć drogę w drugim korytarzu: prawie dwa i pół metra prosto, potem po łuku w lewo i w końcu trzy metry do zmyślnie zaprojektowanych drzwi żaluzjowych. Z większej odległości wyglądały one na pokrywę dużego szybu wentylacyjnego.

Nasłuchiwałem w ciemnościach, ale jedynym, co przedostawało się między żaluzjami, były cisza i powiew powietrza, tak słaby, chłodny i czysty, jak oddech bałwana ożywionego przez miłość i czary.

Powietrze niosło ze sobą woń wilgotnego betonu, zawartego w murach wapnia, który przez dziesięciolecia emitował światło. W tej części podziemnego świata miasta nigdy nie czułem rozkładających się szczurów lub cuchnącej pleśni, które czasem rozwijały się gdzie indziej.

Tak jak w betonowej ścianie schowano obracające się drzwi, tak w żaluzjowych drzwiach znajdował się ukryty przycisk zwalniający zasuwę. Drzwi zamknęły się za mną samoczynnie. Zapaliłem latarkę i z ciemności wyłonił się kanał burzowy, jakby ostrze światła wyłobiło go w skalnym podłożu. Wielki cylindryczny tunel z betonu wydawał się wystarczająco duży, by oszczędzić światu powtórki biblijnego potopu.

Od czasu do czasu przejeżdżały takimi kanałami brygady konserwatorskie w pojazdach elektrycznych wielkości pick-upa. W tym momencie byłem tam jednak sam. Przez lata takie brygady migwały mi z rzadka w oddali, a jeszcze rzadziej musiałem się przed nimi kryć.

Wydawało się niemal, że rzuciłem na siebie urok samotności. Kiedy wędrowałem pod lub nad ziemią, ludzie zazwyczaj odwracali się ode mnie, a ja od nich, zanim mogli mnie dostrzec.

Inaczej bowiem już dawno zostałemby zamordowany.

Do ostatniej dużej ulewy doszło pod koniec października. W tunelu było sucho, dno zaśmiewały drobne przedmioty – foliowe worki, puszki po piwie i napojach gazowanych, pojemniki z fast foodów, kubki ze Starbucksa, rękawiczka z dzianiny, dziecięcy bucik, błyszczący fragment sztucznej biżuterii – które opadły na nie jako ostatnie, gdy osłabł nurt spływającej wody.

Ilość szczątków była nieznaczna. Mógłbym przejść wiele kilometrów, nie nadepnąwszy na nic. Jednak niespełna metr nad dnem kanału, z obu jego stron, znajdowały się pomosty konserwacyjne, na których wzbierająca woda rzadko osadzała śmieci.

Od czasu do czasu mijałem inne panele wentylacyjne, które były po prostu tym, na co wyglądały, oraz żelazne drabinki prowadzące do włazów w suficie, a także wyloty mniejszych rur, które podczas burzy doprowadzały wodę do tego kanału.

W tym podziemnym labiryncie starsze kanały budowano z cegieł lub kamienia, albo z betonowych bloków. Miały one więcej uroku od nowszych konstrukcji, były dziełem kamieniarzy, dumnych rzemieślników.

Zgodnie z metropolitalną tradycją jedna z kamieniarskich brygad była potajemnie na usługach szefa przestępczego gangu z tej odległej epoki i zamurowała kilku jego wrogów, niektórych żywcem. Nigdy nie widziałem żadnego z małych krzyży, które

ponoć wryto w ceglach, żeby oznaczyć ich groby, ani szkieletów dłoni w szparach po zaprawie między kamieniami, przypominających kłacza żłobika koralowatego, niegdyś szukające wyjścia, lecz już od dawna skamieniałe. Być może takie opowieści były nieprawdziwe, stanowiły tylko miejskie legendy, myślałem, chociaż dobrze zdawałem sobie sprawę, jak nieludscy potrafią być ludzie.

Będąc w połowie drogi do pierwszego skrzyżowania głównych kanałów burzowych, dostrzegłem znajomą srebrzystobiałą mgiełkę jarzącą się w oddali. Był to jeden z Mglistych. Wijąc się, płynął ku mnie zwartym strumieniem, jakby powietrze, w którym się poruszał, było wodą, a on świetlistym węgorzem.

Przystanąłem, by go obserwować; zawsze byłem ciekawy tego zjawiska oraz innych widm, które nazwałem Przejrzystymi. Wiedziałem z doświadczenia, że nie mam powodu się bać, ale przyznaję, że nie czułem się pewnie. W odróżnieniu od smugi prawdziwej mgły lub pary wydobywającej się z kanału wentylacyjnego, ta zjawy nie rozmywała się na brzegach i nie zmieniała kształtu pod wpływem prądów powietrznych. Mierząc niespełna dwa i pół metra długości i trzydzieści centymetrów średnicy, wiła się tylko w moim kierunku, a gdy mnie mijała, zatrzymała się i przez moment stała na końcu, gnąc się pośrodku tunelu niczym kobra zauroczona muzyką fletu. Potem znowu ułożyła się horyzontalnie i odpłynęła – mieniająca się srebrzystym blaskiem smuga, zmniejszająca się do punktu, a potem niknąca bez śladu.

Mglistych i Przejrzystych spotykałem przez całe życie. Miałem nadzieję, że pewnego dnia dowiem się, kim są i

co znaczy ich widok, choć podejrzewałem, że być może nigdy to nie nastąpi. Albo że odkrywszy prawdę o nich, zapłacę słono za tę wiedzę.

6

– Zbyt dużo mnie kosztujesz – oświadczyła moja matka w dniu, gdy wypędzała mnie z domu. – Żyłam według własnych zasad i liczyłam się z konsekwencjami, ale nie z czymś takim. Nie z tobą.

Zawsze śliczna jak kobiety z kolorowych czasopism, jak gwiazdy telewizji, którymi zachwycają się miliony, ostatnio wydawała się chuda i wymizerowana. Nawet wyraźne znużenie i podkrążone sino oczy nie szkodziły jej urodzie. Tak naprawdę świadczyły o tym, że ma czułe serce i jest udręczona jakąś straszną stratą, że jej cierpienie jest piękne niczym święte męczeństwo; jej twarz stawała się przy tym jeszcze piękniejsza.

Matka siedziała przy kuchennym stole o lśniących chromowanych nogach i czerwonym blacie z laminowanego tworzywa. Pod ręką miała swoje leki i whiskey, która jej zdaniem stanowiła po prostu kolejne lekarstwo.

Jeśli o mnie chodziło, ta whiskey wydawała się jej najlepszym lekarstwem, ponieważ w najgorszym razie wpędzała ją w przygnębienie, ale czasami rozśmieszała lub sprawiała, że matka kładła się i zasypiała. Z drugiej strony, tabletki oraz proszek, jaki czasem wdychała, mogły wywołać nieprzewidywalne zmiany nastroju. Dużo wówczas płakała lub wpadała w szał i rzucała, czym

popadło, albo z premedytacją zadawała sobie lekkie rany.

Dotknięciem swoich zgrabnych rąk przemieniała wszystko w piękne przedmioty: zwyczajna szklanka szkockiej iskrzyła się niczym cięty kryształ, gdy raz po raz wodziła czubkiem palca po jej zwilżonym brzegu, a cienki papieros przypominał czarodziejską różdżkę, z której unosił się dym oznaczający spełnienie życzeń.

Nie poprosiła, bym usiadł; stałem więc po drugiej stronie stołu. Nie próbowałem do niej podejść. Dawno temu czasami mnie przytulała. W końcu mogła znieść co najwyżej przelotne dotknięcie, odgarnięcie włosów z czoła, położenie na chwilę dłoni na mojej ręce. W ostatnich kilku miesiącach nawet przelotny dotyk był ponad jej siły.

Ponieważ rozumiałem, jaki ból jej sprawiam, obrażając ją samym swoim widokiem, sam też byłem udręczony. Mogła przecież przerwać ciążę, ale tego nie zrobiła. Urodziła mnie. A gdy zobaczyła, co wydała na świat... nawet wtedy obroniła mnie przed akuszerką, która chciała mnie udusić. Mogłem ją tylko kochać i pragnąć, by umiała pokochać coś takiego jak ja.

Październikowe niebo, widoczne przez okno za jej plecami, stało się szare i ponure. Jesień ogołociła stary figowiec z większości liści, lecz pozostałe drżały w porywistym wietrze niczym brunatne nietoperze mające lada chwila zerwać się do lotu. To nie był dzień na opuszczanie domu ani świat dla samotnych istot.

Matka kazała mi założyć kurtkę z kapturem i tak też zrobiłem. Przyszykowała mi plecak z jedzeniem i środkami pierwszej pomocy, a ja go zarzuciłem na ramię.

Teraz wskazała na zwitek banknotów.